

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy“

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

26

— Na Jowisza, sierżancie! odnajdziemy ich! — zawołał silnie poruszony Johnnie.

Przecież z całą stanowczością mogli twierdzić, że jadą tą samą drogą, co uciekający automobil z fakirami i trumną! To przekonanie potwierdzały ślady, ciągle widoczne na drodze i wiadomości zasięgnięte we wioskach i miasteczkach, które przejeżdżali. Wszędzie widziano wspaniałe automobile o sile co najmniej ośmdziesięciu koni, bardzo podobny do tego, którym agenci jechali, prowadzony przez śmieszne jakieś indywidua, w oryginalnych strojach! Nie mogło być żadnych wątpliwości! To byli fakirzy! Na maszynie leżało przymocowane, duże, białe pudło! — to była lakowa trumna!

Ponieważ automobil, który ich wyprzedzał, był więcej obciążony, wygrana była po stronie agentów. A przytem zwracali oni wszędzie na siebie uwagę, co było bardzo ważną rzeczą, ułatwiającą im śledzenie. A Johnnie do tego wszystkiego jeszcze cieszył się nadzieją, że przy tak szalonym pedzie trumna lakowa spięta uciekającym jakimś figla! Wszystkie więc szanse były po stronie agentów!

— Pomyśl tylko, sierżancie — śmiał się Johnnie — co za ładny dla nas widok! Sznur przytrzymujący trumnę pęka i albo zaraz nam wpadają w ręce, albo doganiamy ich z łatwością, bo tracą co najmniej piętnaście minut na naprawienie szkody!

Szeroka twarz Johnniego jaśniała radością; ze swoim optymistycznym usposobieniem, przewidywał wszelkie ewentualności, korzystne dla nich — pęknięte koło, brak benzyny, uderzenie o kamień!... Ewentualności, na której zyskaliby nie piętnaście minut, ale całe pół godziny.

— Ty zawsze widzisz wszystko w różowych kolorach, mój Johnnie! — uczynił towarzyszowi zarzut Wiliam Perkins, który nie mógł się pochwalić tak pogodnym usposobieniem. Melancholijny był i trochę zgryźliwy.

— Nie pokażę się w Scotland-Yard za żadną cenę świata! — powtarzał z uporem — jeżeli nie pochwyć tych ptaszków, nie pokażę się więcej w moim rodzinnym kraju — dodał po chwili, przez zaciśnięte zęby!

Mieć taką wspaniałą sposobność do zemśczenia się za kuzyna i pozwolić się tak naiwnie wyprowadzić w pole! Szeroką dłoń uderzył towarzysza po kolanie.

— Bo trzeba ci wiedzieć, Johnnie, że byliśmy razem wychowani w Devonshire! Bawiliśmy się razem, Joe Perkins i ja! Przeskakiwaliśmy baryery i umizgali do młodych dziewcząt!... W naszej wsi byliśmy obydwa pierwszymi szampionami w krikcie. Razem przybyliśmy do Londynu, gdzie nie nudziliśmy się, mogę cię zapewnić. A jednego wieczoru, gdy byliśmy znowu razem w Trafalgar-Square pod kolumną wielkiego Nelsona, ujrzeliśmy afisz, przy którym stał młody sierżant, werbujący rekrutów. Podpisaliśmy umowę i wstąpili do pięknej angielskiej armii. Służyliśmy chwałebnie, Johnnie i nie lada z nas zuchy byli!... Było na co patrzeć, gdy spacerowaliśmy obydwa w czerwonych naszych kurtkach! Dziewczeta angielskie dawno nie widziały takich dwóch ładnych chłopców! Było postanowione, że wstąpimy do policji i wierzą mi, Johnnie, lepiej sprawialiśmy się tam, niż teraz my obydwa!

I znowu silne uderzenie w kolano przekonać musiało Johnniego o uwielbieniu, jakie dotąd żywił Wiliam Perkins do swojego nieżyjącego krewnego, Joego i o pogardliwym uczuciu, jakie obecnie żywił dla niego.

— Bo, Joe, choć miał dobry apetyt, mój Johnnie, nie ośmieliłby się myśleć o swoim żołądku, zanim wypelni swój obowiązek. I trzeba było mu to wyprawić się do Indji. To wina pewnej, małej szelmeczki!

Pomimo swojego podziwu dla wszystkiego, co było pochodzenia angielskiego, Wiliam Perkins musiał z bólem serca przyznać, że i Angielki skłonne są do zdrady! A lekkomyślność pewnej młodej robotnicy, uwielbianej w całej dzielnicy Magfar, skłoniła biednego Joego, który zaczął już chorować z rozpacz, do zaciągnięcia się do Indji, w chwili, kiedy już mógł opuścić służbę, skąd już nie powrócił, zdradziecko zamordowany przez tych przeklętych fakirów, uchodzących za świętych pielgrzymów!

— A to są bandyci najgorszego gatunku — kończył opowiadanie Wiliam Perkins.

Trzecie uderzenie w kolano Johnniego zamienifestowało całe oburzenie i nienawiść, jaką stary agent odczuwał dla tych szaleńców, ośmielających się głosić, że Indye czują się nieszczęśliwe pod panowaniem Anglików.

— Tak, jak gdyby byli zdolni sami rządzić swoim krajem!

Na takiej rozmowie czas biegł dość szybko. W Crèpy-en Valois zatrzymano się by odnowić zapas benzyny, a Johnnie uzyskał pozwolenie udania się do restauracyi, gdzie poczynił zakupna żywności na dalszą drogę. Przez ten czas Wiliam Perkins, leżąc pod maszyną, niezmordowanie śledził i porównywał ślady kół, wyrysowanych w notesie. Doszedł do przekonania, że uciekający automobil był tu przed pół godziną! Otóż w miasteczku, gdzie zatrzymano się poprzednio, w celu uzyskania informacji, Perkins zbadał, że automobil z trumną poprzedzał ich o trzy kwadransy czasu! Do tej pory zyskali już piętnaście minut! Wobec tego dowodu jasnym było, że ich maszyna była lepsza!

Johnnie tryumfował!

— Powiadam wam, szczęście, gdy ich dogonimy.

To też zajażdżał bez najmniejszych wyrzutów sumienia, gdy automobil ruszył w dalszą drogę. A Wiliam Perkins, nie z głodu, bo oburzenie w dalszym ciągu przygnębiało jego organizm, zdecydował się na polknięcie kawałka szynki, który oblał dobrym kieliszkiem wódki.

Wjeżdżali teraz do lasu Villers-Cotterets. I podczas gdy Johnnie napychał się skrupulatnie dalej, Wiliam Perkins wstawał co chwila z siedzenia, w nadziei, że ujrzy wreszcie automobil ściganych fakirów. Miejsce nadawało się znakomicie do pościgu! Bo w otwartym polu, lub we wsi, zbrodniarze mogli ująć, lub znaleźć obrońców, a agentom angielskim trudno było żądać pomocy władzy, ponieważ nie mieli ze sobą agenta francuskiego.

Wiliam Perkins zaczął przynaglać szofera.

— Słuchaj no, mój przyjacielu, zdaje mi się, że nie robimy nawet sto mil na godzinę.

Szofer odpowiedział, że było to niemożliwością do tej pory, albowiem droga dotąd nie była wolną dostatecznie do szybszego biegu. Wołał jechać powoli, niż narażać maszynę na jakiś wypadek, któryby opóźnił pościg.

Agent przez polową lornetę obserwował drogę i aleje. Widok rozciągał się aż do sześciu mil.

— Nie widzę teraz żadnej przeszkody — rzekł uradowany — droga czysta, jak szkło! No, dalej, teraz najlepsza pora przyspieszyć biegu!

A że przejeżdżali właśnie koło znaku kilometrowego, wyciągnął zegarek i mierzył czas do znaku następnego.

— All right — rzekł z głębokim zadowoleniem. — Jedziemy doskonale. Jeżeli uciekający tem samem tempem jechali, co poprzednio, agenci uzyskali znowu kilkanaście minut przewagi nad nimi.

Nagle potężna dłoń Wiliama Perkinsa uniosła Johnniego z siedzenia. Równocześnie drugą ręką wtykał mu lunetę w rękę.

— Patrz, mój chłopcze! patrz! o ile trawienie ci nie przeszkadza!

— Przez Jowisza! — zawołał Johnnie — a co? Nie mówię, że tak będzie!

Tuman kurzu wznosił się ponad drogą, mniej więcej w tem miejscu, gdzie zaczynało się wznieśnienie, a w tym tumanie agenci dostrzegli pędzący automobil! Osób w nim siedzących ujrzeć nie mogli, zato widzieli uczipioną u tyłu maszyny długą białą skrzynię.

— Lakowa trumna! — wymówili równocześnie obaj agenci.

— Hurra! nasza wygrana — wykrzyknął Johnnie tryumfalnie.

Machinalnie poszukał manierki Wiliama Perkinsa, bo takie spostrzeżenie wymagało przecież nagrody. Wiliam Perkins myślał to samo, bo odezwał się lekko zawstydzony:

— Johnnie, mój chłopcze! wybac mi, ale już wypilem wszystko! Ale na głowę naszego dobrego króla Edwarda i na pamięć Jego szlachetnej matki, królowej Anglii i cesarzowej Indji, przysięgam ci pół tuzina butelek wódki, mój mały Johnnie! Pod warunkiem jednakże, że pochwyćmy tych szarlatanów!

— Ah! sierżancie! mamy ich już! — patrzcie, oto stał im się już wypadek!

Rzeczywiście, mogli śmiało przez dwadzieścia minut twierdzić, że zbiegów trzymają już w ręce, a zwycięstwo to przychodziło im bez żadnych trudności. Wiliam Perkins w swojej ambicyi dobrego detektywa nie był nawet zadowolony z takiego ułatwienia sprawy. Byłby wołał walkę zaciętą

i niebezpieczną, ale szeroka twarz Johnniego zato jaśniała radością, bliską szału.

— Mamy ich! mamy! — wołał zacieraając ręce. — Mówię wam, sierżancie, że tak będzie.

— — — — — Nie był to wypadek małej wagi, ale kompletna katastrofa, o ile sądzić mogli na odległość i przez zasłonę gęstych drzew, które nagle przysłoniły im horyzont. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, maszyna, wyrzućwszy na drogę pasażerów i skrzynię — paliła się teraz!

— Zebyśmy ich tylko znaleźli w możliwym stanie do aresztowania i przywiezienia ich do Scotland-Yard! — zawołał Johnnie.

Byliby przynagliłi jeszcze szofera do szybkiego biegu, lecz ten oparł się temu stanowczo. Taki wypadek, oglądany naocznie, wywołuje ostrożność.

— Zresztą po co się narażać — rzekł Johnnie. — Przecież nam teraz już nie uciekną!

— — — — — W ten to sposób upłynął czas dostateczny dla Jana le Kerlack, do odegrania jednej ze swoich sztuczek, tak wspaniale obmyślanej i wykonanej z całą przytomnością umysłu, dla tego, który sądził, że bierze go w swoje posiadanie i dla tych, którzy podstępnie pochwylił lakową trumnę!

W chwili, gdy wydarzył się wypadek, spowodowany pęknięciem gumy u koła, Jan le Kerlack już był od trzech kwadransów zupełnym panem swoich zmysłów. Otworzył on najprzód jedno oko... następnie drugie i machinalnie chciał sięgać ręką do kieszeni, gdzie znajdował się jego brauning. Ale ten ruch przypomniał mu, że się znajduje w trumnie. I to w trumnie szczelnie zamkniętej i w tej chwili silnie poruszanej wstrząśnieniami jazdy. Uczuwał on bardzo nieprzyjemne uczucie w żołądku, ale jeżeli serce jego, a właściwie żołądek, było w nieporządku, to natomiast umysł jego działał zupełnie normalnie.

— Wpadłem sam w zastawione sidła — myślał. — Ten bandyta, widocznie sprytniejszy odemnie, spostrzegł to i skorzystał ze sposobności. I do tego jeszcze zaaplikował mi małą kąpiel chloroformową!

Nie było wątpliwości! Gewolski unieruchomił go dozą chloroformu, zdolną uspić na kilka godzin kilku jego chorych! Dla każdego innego człowieka byłaby to śmierć natychmiastowa, ale Jan le Kerlack posiadał wyjątkowo silny organizm!

Mógł szczęśliwie, podczas dokonywania tej nieprzyjemnej operacyi, skrócić głowę, w ten sposób, że część płynu rozlała się po jego twarzy, nie wpływając w usta. Trochę dostało się do nosa i uszu, co spowodowało sen natychmiastowy. A że uszy miał zatkane watą, jako człowiek przewidujący i ostrożny, został więc ocalony od niebezpieczeństwa. Jan le Kerlack, leżąc w trumnie, która wstrząsała nim teraz niemożliwie, cieszył się z rozczarowanej miny Gewolskiego, gdy go ujrzał całym i zdrowym! Ale Gewolski sądził, że wróg jego zasypia już snem śmiertelnym i uwoził go daleko od miejsca dokonanej zbrodni! O tem Jan le Kerlack nie wątpił ani na chwilę, tak samo, jak nie wątpił, że teraz Gewolski wiezie go, aby zatracić wszelki ślad, mogący go zdradzić w przyszłości i zechce trumny lakowej, wraz z jej cenną zawartością, pozbyć się w najdogodniejszy sposób, wrzucając ją w przepaść jaką, lub w rzekę! Jednakże Jan le Kerlack nie tracił jeszcze nadziei.

— Oto, co się zyskuje — monologował — miesząc się w nieswoje rzeczy! Dla jednej rzeczy tyle zachodu i ambarasu... Bo o cóż właściwie mi chodziło? O to, żeby dwoje sympatycznych zakochanych poślubić się mogło i żeby Stanisław nie dowiedział się nigdy, że ojciec jego jest skończonym łajdakiem! Dla tej przyczyny, Jan le Kerlack został żywcem pogrzebany w trumnie. Jednak, pomimo niebezpiecznej i na razie bardzo niewygodnej sytuacji, Jan le Kerlack nie żałował tego, co uczynił. Przeciwnie był bardzo z siebie zadowolony, tylko, że zadowolenie jego nie było zupełne, bo widział teraz przed sobą niemożliwość doprowadzenia dzieła swego do końca! Chyba że?... Ależ naturalnie, jeszcze wszystko nie jest stracone, skoro żyje! Ale jakim sposobem wydostać się z więzienia, w którym nawet poruszać się nie może? A może bezpieczniej było nie dawać jeszcze żadnego znaku życia, bo gdyby Gewolski spostrzegł, że nieprzyjaciół jego żyje jeszcze, łatwo się może postarać, aby go uczynić nieszkodliwym. A teraz uczyniłby to z całą dokładnością!

Jan le Kerlack postanowił więc udawać umarłego i czekać cierpliwie na bieg wypadków. A później, gdy przekona się, że się nim nikt zanadto nie interesuje, może uda mu się odwrócić i wsunąć rękę do kieszeni, gdzie miał broń nabitą i to broń najlepszego gatunku, i trzymać ją w pogotowiu. W razie